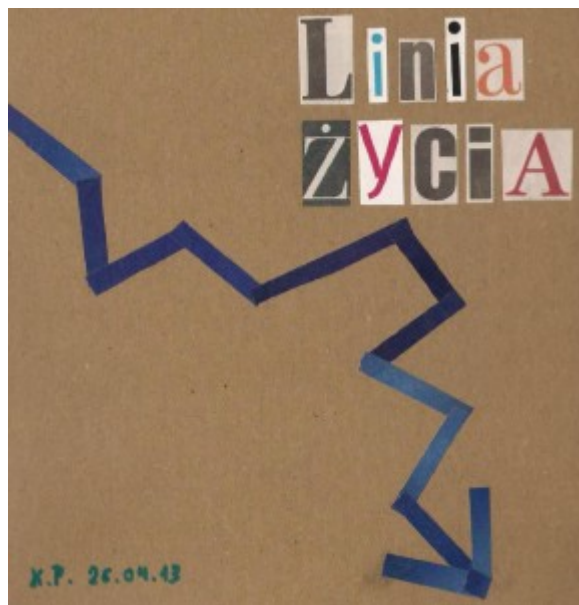


Linia
zyciA

K.P. 26.04.43

Adam Cebula "Bełkotliwie"

nimfa bagienna



Pewnymi tematami futurologów nigdy się nie zajmowali.

Dlaczego? Być może dlatego, że wydawały im się kompletnie nieinteresujące, a być może dlatego, że nie mieli pojęcia, w jakim kierunku mogą pójść zmiany. A najprawdopodobniej dlatego, że tych zmian sobie najzwyczajniej na świecie nie wyobrażali. W głowie się im nie mieściło, żeby mogło się coś zmieniać w na przykład w sposobie rozumienia świata, żeby cokolwiek mogło być lepsze albo gorsze. Powinno być tak jak teraz, najwyżej treść tych przemyśleń zmieniałyby się, ale na przykład publicystyka powinna się posługiwać – tak jak się posługiwała – reportażem czy felietonem, i owe wypowiedzi pismaków powinny wyglądać mniej więcej jak te współczesne.

Otóż na moich oczach dokonały się bardzo istotne zmiany. Tak, zdarzyło mi się pracować dla czasopism, i to za czasów mojej pismackiej bytności redakcje sukcesywnie skracaly materiały, bo ilość dopuszczalnego tekstu na rzecz zwiększenia liczby obrazków musiała się zmniejszyć. Za moich czasów zdarzyły się pretensje redaktorów, że zrzuty ekranowe, których wygląd jest wynikiem jedynie pracy programistów biblioteki graficznej, gdy nie mamy możliwości dorzucenia jakiś atrakcyjnych obrazków, jest zbyt surowy. Za mojej bytności w najmniej dwóch redakcjach poczułem wiatr historii, który wyznaczył kierunek wyraźnych zmian. Uświadomiłem sobie, że o ile faktycznie futurologowie nie mieli szans, by je przewidzieć, to oznaczają one, że nic już nie będzie takie samo. Gdyby ktoś wyrwał się ze światłą obserwacją, od razu uprzedzę: owszem, coś tam zmienia wprowadzenie czytników e-booków, aleś elektronika ma najmniejsze znaczenie, prawdę powiedziawszy, chyba żadne wobec tego, co się już stało.

Zmiany określamy takimi słowami jak „tabloidyzacja”, „komercjalizacja”, czy „portalizacja” – chyba to ostatnie jest nie zawsze akceptowanym neologizmem. Na moje wyczucie sam zestaw tych określeń dobrze definiuje zasadniczy i kierunek, i skutek tych zmian. Jaki? Jak mi się zdaje, można to dobrze pokazać na przykładach. Chyba dość drastycznych.

Przez tiwi przetoczyła się niedawno fala dyskusji wywołanych opublikowaniem przez Kongres USA raportu dotyczącego stosowania tortur i tajnych więzień w zaprzyjaźnionych krajach. Miałem okazję wysłuchać, jak to pewien – jak sam zaznaczał – poseł wielu kadencji przekonywał uczonych współdyskutantów, że on wie lepiej, jak z terrorystami należało postępować, bo był szkolony zarówno przez CIA, jak i przez Mosad, a metodami zgodnymi z prawem wygrać się nie da. Kilkoro intelektualistów próbowało z nim niemrawo dyskutować, powołując się na humanitaryzm czy

empatii. Zdawać by się mogło, że gdy o sprawach zasadniczych wypowiadają się utytułowani luminarze nauki polskiej, nie kwestionowani jako moralne autorytety, erudyci, oraz – z racji przebytej kariery i pełnionych funkcji na uczelniach doskonali znawcy sięgających przecież starożytności zasad działania społeczeństw i państw – wszelkie pomysły tego typu spotkają się ze zdecydowanym potępieniem. Aż się prosiło albo o górnolotne łacińskie maksymy, których jest całkiem sporo na taką okoliczność, albo o zdecydowane stwierdzenie, żeś się pan z choinki urwał.

Otóż nic takiego nie powiedziano. Owszem, zauważono niestosowność, nawet zaznaczono, że intelektualiści nie zgadzają się z tak radykalnymi poglądami, ale najwyraźniej z przyczyn estetycznych, a nie zasadniczych. Autorytet moralny instytucji o ekscytujących, filmowo brzmiących skrótach jak CIA i MOSAD najwyraźniej skasował drobne dwa tysiąclecia bolesnych, wielokrotnie powtarzanych w tej materii doświadczeń i wyszło że torturowanie jest jakby... nieładne.

Nie wiem, czy ów poseł, człowiek wydający się światowym i wykształcony, wierzył w to, co mówił, czy rznął głupa. Obstawiam, że jedno i drugie, bo reprezentuje partię, która – przemalowawszy się z czerwonego na kolor TKM (tera k... my), partii, która przerznęła koncertowo wybory, mniejsza że samorządowe, i po tej klęsce podała sobie łapki ze swoimi prawie śmiertelnymi wrogami, która właśnie zafundowała Rzeczplitej kompromitację z więzieniami CIA – nie miał niczego innego do wyboru, niż bronić kumpli wbrew wszystkiemu.

Myślę, że delikwent, o którym mowa, entuzjasta łamania prawa, gdy się nam zdaje, że inaczej sobie z przeciwnikiem nie damy rady, po przydługiej edukacji w lewicowej formacji zetknął się z problematyką prawa, został przymuszony do jakiegoś wyuczenia się historii, i generalnie jego zasady nie mogły by mu być obce, skoro koledzy wkuwali dzieła Marksa, Engelsa i Lenina, tak zwane nauki społeczne. Na skutek tych przykrych przeżyć powinien wiedzieć, że we współczesnym świecie pewne sprawy są bardzo dobrze ustalone, niektóre nawet słowo się już rzekło, od czasów rzymskich. Do nich należy generalnie kwestia przestrzegania prawa. *Pacta sunt servanda*, a jeśli ktoś to kwestionuje, to nie mieści się w kręgu cywilizacji, do której chce się zaliczać na przykład Unia Europejska. Zasadą jest także niestosowanie tortur, i wynika ona z daleko bardziej dramatycznych doświadczeń, niż walka z dżihadystami. Ów poseł, jako że był kształcony jeszcze przez komunistów, musiał dobrze wiedzieć, że w XX wieku dwie wojny światowe zaczęły się na terytorium Europy, i mniej więcej zna ich przebieg. Za to, że odróżnia wojnę stuletnią od trzydziestoletniej, i kto kogo w nich wyżywał, nie dałbym puszki piwa, ale sądzę, że zdaje sobie sprawę, że nasza wysoka kultura, starająca się być wzorcem dla reszty świata, ma wielkie doświadczenia we wzajemnym bezsensownym mordowaniu się.

Z tejże przyczyny obstawiam, że jego powoływanie się na speców z CIA i Mosadu w kwestii łamania prawa nie było do końca szczere, ale twierdzę także, że szczerą była wiara, że to może trafić do znaczącej części widzów lub słuchaczy, bo ktoś mógł akurat w ekran nie patrzeć. Myślę, że także szczerze uznawał – choćby ograniczoną – moc swoich argumentów, albowiem nie potrafił w swych wywodach prawidłowo użyć pojęcia prawa (czy podobnych). Proszę mi wybaczyć skrótowość, ale taka dysfunkcja to cecha zwykle wystarczająca, by nie przejmować się jakimiś rzymskimi zasadami.

Efekty dyskusji były zgodne z medialnymi zasadami. To znaczy: strony się obraziły w granicach dopuszczalnych prawem prasowym słowami niegrozącymi pozwami sądowymi, wyraziły emocje i pozostawiły, jak sadzę (w zamyśle autorów programu) w przeświadczeniu, że to „panie kolego, wszystko nie jest takie proste”. Albowiem proste jest tylko w przypadku, gdy się atakuje tych z jedynej, zupełnie niesłusznej partii, a ta odpowiedzialna za aferę z więzieniami, jakkolwiek słuszną nie jest, w ramach medialnych zasad nie ma być do końca rozjeżdżana. Zwłaszcza że ten pan poseł medialnym jest, bo w filmach występował.

Niczego nie wyjaśniono, nikt wypowiedział tej prostej kwestii, że o stosowaniu jakichkolwiek tortur

w krajach pretendujących do bycia cywilizowanymi żadnej dyskusji nie ma i być nie może, że nie zdarzyło się nic, co by do tej dyskusji kogokolwiek upoważniało. Wręcz przeciwnie, doświadczyliśmy po raz kolejny, że przemoc obróciła się gracko przeciw tym, którzy ją stosowali. Można powiedzieć, że – oceniając telewizyjną awanturę z punktu znajomości zasad funkcjonowania świata nie tak dawno wymaganych od licealisty – była to kompletna kompromitacja. Mniej więcej coś takiego, jak dyskusja, czy porażonego piorunem zakopywać do ziemi, czy może raczej przystąpić do reanimacji, stosując masaż serca.

W temacie dzihadu przeczytałem sobie sążnisty wywiad w „Gazecie Wyborczej” z jakimś, jak się domyślam, autorytetem w temacie. Zawsze muszę dodać, obrywa się „Wyborczej” ode mnie, bo ją czytam, gazet tak zwanych „prawdziwych Polaków” nie tykam, bo są tam głupoty zbyt durne, by dało się z nimi dyskutować. Otóż ów autorytet, pewna – wierzymy – dobrze zorientowana pani usiłowała wyjaśnić, dlaczego to powstało ISIS. Dlaczego w szeregi tak zwanego państwa islamskiego zaciąga się zdumiewająco wielu młodych ludzi. No więc ponoć z tego samego powodu, z jakiego młodzi Niemcy zaciągali się do Hitlerjugend.

Tylko że my, w tej bidnej Europie, do dnia dzisiejszego nie bardzo rozumiemy, co się wtedy w Niemczech stało. Wydaje się, że wystarczy przywołać Ericha Fromma i jego słynne dzieło „Ucieczka od wolności”, i wszystko jest jasne. Ale to jedynie hasła. Wydaje się, że rozumiemy ciąg zdarzeń, który nieodmiennie prowadzi do zarozumiałego dla Europejczyka wniosku, że to nasza wina, co można przetłumaczyć, że mamy na wszystko wpływ. Gdyby generalnie nie bryndza, jaka spadła na kraje arabskie wskutek obalania w 2003 roku Saddama Husajna, byłoby dobrze. To mniej więcej tak mądre, jak tłumaczenie antysemityzmu w Niemczech po I wojnie światowej kryzysem i biedą. Tylko że w Polsce, która była postrzegana jako mniej antysemicka niż Francja, np. przez rodzinę Polańskiego, bo się nieszczęśliwie do nas przeniosła, ekonomiczne antagonizmy pomiędzy Polakami i Żydami były nieporównanie silniejsze, większa była bieda i beznadzieja.

Jakimś cudem nazistowska propaganda przyniosła skutek tam, gdzie było łatwiej, a w kraju, gdzie faktycznie rządziła wojskowa faszystująca junta, nie dało się utworzyć kolaboracyjnego rządu, podczas gdy w krajach o starej, okrzepłej demokracji te rządy posłuszne hitlerowcom powstawały. Otóż nie mamy pojęcia, dlaczego w Przywiślańskim Kraju nie ruszyła ludzi ani propaganda komunistów, ani faszystów, a tuż za naszymi granicami znalazły posłuch szalone ideologie i przyniosły katastrofę na światową skalę.

Jak wygląda publicystyka XXI wieku? Ano... staje się coraz bardziej zamknięta we własnym wirtualnym świecie. Cóż bowiem oznacza słówko „tabloidyżacja”? To pewnie uproszczenie, ale też hasłowość. Opisywanie przemian właśnie takimi słówkami, jak „komercjalizacja” czy wałkowana „tabloidyżacja” to zabieg udawania wyjaśniania czegoś poprzez nazywanie uczonymi słówkami, które zdają się coś znaczyć, ale w istocie są jedynie pustymi hasłami. Przyciśnięci do muru ludzie nie będą potrafili ich wyjaśnić. Na czym polega „komercjalizacja”? Ekhem... na „tabloidyżacji”.

Opisywanie świata sprowadza się do użycia odpowiedniej formy wypowiedzi. Pismacy skutecznie uczą się ukrywać przed czytelnikiem kompletny brak treści. Metody, jakie stosują, nie są bynajmniej nadzwyczaj wyszukane. To używanie czegoś, co ludzie stosują od tysiącleci do osławiania świata: wymyślanie bytów, duchów bożków, demonów poruszających różne wymyślane koła fortuny. Nie widzimy tego, bo panteon został dokumentnie odświeżony, a zasiedlające go stare diabły otrzymały nowoczesne karoserie. Choć ich wewnątrz jest dokładnie takie samo jak za czasów, gdy straszono się przy darciu pierza, albo może przy oprawianiu zdobyczy w jaskiniach.

Aliści wydaje się nam, że przekaz jest funkcjonalny i nowoczesny. Ot, zbuntował się nam ciemny lud, bo mamy oswojonego diabełka buntu, który objawia się nam, gdy pojawia się bieda. Diabełek owego obłaskawiamy metodą znaną z czasów kamienia łupanego: składaniem ofiar. Tak, Drogi Czytelniku,

masz rację, że to działanie wydaje się racjonalne. Tak racjonalne, jak za czasów starożytnego Egiptu stosunek ze świętym kozłem wydawał się niezawodnym sposobem na bezpłodność. W zaklęciach autorytet bogów został zastąpiony Erichem Frommem i budzącym respekt tytułem tajemnej księgi.

Skąd się biorą nowoczesne zaklęcia i imiona nowych bogów? Ze współczesnej mitologii. Jeśli człek nie wie, dlaczego pioruny walą, potrzebny mu skarbczyk udatnych literacko pomysłów. Wyciągnie z niego w odpowiedniej chwili Gromowładnego, postać barwnie wymyśloną, krwistą, łatwą do zapamiętania i interpretacji. Albo owego diabełka buntu ciemnego ludu. Współczesny panteon zapełniają pismacy. Czasem podli, czasem z polotem, ale dzięki nim mamy zbiór demonów medialnych, ślicznie udających opis rzeczywistości. Wskoczył klient z okna – to przez demona depresji, wziął spluwę i rozwalil kilkunastu kumpli z klasy – wszystko jasne, zadziałał czarcik niskiej samooceny. A jeśli, czytając te bzdury, człek łapie się na tym, że tak zwane media niczego nie wyjaśniają, wszystkiemu jest winna „tabloidyżacja”.

Ależ można coś o świecie powiedzieć. Domyślam się przynajmniej jednej składowej buntów, które wybuchają nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale też choćby w Afryce czy w regionach dalekiej Azji, z którymi zapoznawał się nas rodak Joseph Conrad. To chyba działanie drugiego instynktu – jeśli chodzi o władanie nad organizmami – po strachu przed śmiercią, czyli dążeniu do prokreacji. W społeczeństwach, w których etyka jest oparta na ekologii stada kóz, najważniejszą rolę kozła jest nieustanne pokrywanie samic. Aby mu się to udawało, musi mieć nad nimi władzę. Cóż, dobór naturalny, moim zdaniem, miał silne powody, by preferować genotyp kobiety, która potrafiła obiecać, ale nie dać. Jej potomstwo w warunkach przymusu seksualnego miało największe szanse na przeżycie; kobieta, która ciągle rodziła, szybko umierała, nie miała szans na doprowadzenie dzieci do wieku samodzielności. Proszę wybaczyć obserwacje starszego pana, lecz coś mi się zdaje, że bez instytucjonalnego, umocowanego w klanowych prawach zezwolenia na gwałcenie, nasz kozioł se nie poużywa. Owszem, przyjdzie mu się zgodzić z kolegą z dalekich zimnych krajów, że Barbórka lepsza niż seks, bo częściej.

Technologia dramatycznie zmienia ekologię ludzkich stad. Kobieta, która dawniej potrzebowała chłopa, właściciela stada owiec lub wielbłądów, poważanego w radzie starszych, usamodzielnia się. Facet staje się średnio atrakcyjnym dodatkiem do życia. Wystarczy mieć jakiś zawód, nawet umieć czytać i pisać, by mieć środki do przeżycia. Na dodatek – obserwuję ten proces od lat – chłopcy niechętnie się uczą, chyba z biegiem czasu coraz gorzej. Owszem, bywają wyjątki, ale generalnie kobieta z jakiś niezrozumiałych powodów okazuje się lepszym uczniem. Skutkiem tego zdobywa zielone papierki ze znakiem \$ oraz pozycje w radach starszych zarządzających firmami.

Faceci z etyką wywiedzioną ze stada kóz tracą wszystko. Wali się ich pozycja w rodzinach, nie dlatego, jak pisze „wywiadowana” znawczyni Wschodu, że kraj nawiedza zły duch bidy, ale dlatego, że nic nie potrafią. Ich system wartości oparty na klanach wyklucza możliwość, by w miejscach, gdzie żyją, powiodła się jakaś samoorganizacja społeczeństwa na wzór Europy. Wali się też władza innych kobiet, starych babek, ciotek, pierwszych żon w haremach. Ci ludzie mają tylko jeden pomysł na ratowanie siebie: zachowanie klanowego systemu organizacji społeczeństwa. A młodzi mężczyźni nie potrafią inaczej zapewnić ujścia swym instynktom, jak poprzez przemoc w stosunku do kobiet.

Technologia jest bezlitosna, nawet w zawodach typowo męskich morduje klanową etykę. Nie jesteś podległy majstrowi na budowie dlatego, że był kiedyś najdzielniejszy w bitce, że cieszy się poparciem innych z rady starców, ale z powodu ukończenia przez niego szkół, przejścia szczebli kariery wedle wzorców przyniesionych z Europy. Technologia deprecjonuje męskie cechy: psu na budę mięśnie, gdy jest się operatorem suwnicy. Za to trzeba umieć przeczytać ze zrozumieniem instrukcję obsługi.

Tracisz społeczną pozycję, tracisz władzę nad kobietami, nie pociupciasz sobie. Na dodatek religie nie pozwalają ci stłuc. Zadziwia mnie zawsze, z czego wynika zajądlność religii Wschodu i Zachodu w

tej materii, wszak oryginalny grzech Onana zasadzał się na zupełnie innych okolicznościach. Nie szkodzi – na samo wspomnienie wali się piorunami, zieje siarką i piekielnym. Pozostaje tylko jedna przyjemność, dostępna dla całej męskiej populacji, znana też Europejczykom: zginać za ojczyznę, bo żyć się nie da. Ba, gdybyż to islam pozwalał choćby zalać mordę w samotności...

Diagnoza brzmi zabawnie, ale wiele wskazuje, że seksualna składowa powtarzających się rebelii jest bardzo silna. Porwania uczennic, targi niewolnic, masowe gwałty pokazują, że w lwiej części chodzi właśnie o to – po prostu o chuć. Diagnoza niestety jest mało optymistyczna, raczej powiedziałbym tragiczna, bo mówi nam, że nie zmieni się wiele, dopóki faceci ze Wschodu nie pokonają kulturowego dystansu. A jego wyznacznikiem jest postać z filmów Woody Allena, człowiek, który wie, że w sprawach seksu człowiek musi radzić sobie sam. Jak daleko jest Bollywood od Hollywood? Chyba mniej więcej tak samo, jak ta szacowna dzielnica wytwórni filmowych od naszego pozbawionego złudzeń nowojorskiego reżysera...

Może ów wywód brzmi nazbyt perwersyjnie, wyda się – jak na wyjaśnienie – nazbyt ekscytujący, jak ów (usunięty przez autora) pierwszy rozdział wiekopomnego dzieła „Moskwa – Pietuszki”, jednak chciałbym zwrócić uwagę, że w teorii tej nie posługuję się terminami wytrychami typu „niezasymilowane mniejszości”. Może sformułowania są wiejsko-ludyczne, ale wszystko jest raczej jasne i dotyczy szarej codzienności.

Jak odróżnić opis świata oparty na medialnej mitologii (czy na różnych bytach wyczarowanych z mieszaniną modnymi słówkami) od rzeczywistej próby zrozumienia czegokolwiek? Ano właśnie: jest to TRUDNE. Zjawisko dżihadu nie za bardzo mnie interesuje, o wiele bardziej jestem zaniepokojony kierunkiem, w jakim podąża publicystyka. Opisy, które obwiniają USA, ale i w istocie obdarzają je mocą sprawczą nakręcającą losy świata. Ta moja wizja, mówiąca, że ani powstrzymanie tego, co się stało, ani wygaszenie niepokojów nie zależy od władców z Zachodu, brzmi na ucho tak samo. Równie uczenie, a nawet uczenie, bo ekhem... holistycznie wyglądają pomysły o bidzie spowodowanej interwencją USA w Iraku. Albowiem w powszechnym przekonaniu USA ma wpływ na wszystko.

Mechanizmy generowania medialnego bełkotu obnażają się czasami. Gdy pan spec od terroryzmu wypowiada się o zasadności łamania prawa, może sięgnąć do zbioru diabełków i demonów wygenerowanych i wpuszczonych do świadomości jedynie przez tych bajkopisarzy, którzy zajmują się zamachami terrorystycznymi i temu podobnymi atrakcjami. Ano tak: jeśli zaczynamy mówić hasłami, aby nie dopuścić do wyjścia z konwencji, do tego, by słuchacz nie zaczął się za bardzo zastanawiać, musimy się odwołać do pewnego zbioru wcześniej ustalonych, dobrze zaakceptowanych przesądów, stereotypów, fabularnych schematów: skarbczyka bożków, wspólnego dla prawie wszystkich. A kto generuje bożków w kwestiach związanych ze służbami specjalnymi, terrorystami, bombami i podobnymi atrakcjami? Twórcy filmów klasy B i C. W tych produkcjach nie ma miejsca na rozważania o dochowaniu paktów w świetle zasady *rebus sic stantibus* – i co w związku z tym? Tym sposobem nie dyskutujemy o rzeczywistym świecie, ale o zasadach pisania scenariuszy bardzo złych akcyjniaków.

Niestety, z głów wywiało i łacińskie maksymy, a tym bardziej ich znaczenie; w danym temacie (wysadzania) dysponujemy wspólnie jedynie terminologią z tychże kretyńskich strzelanek i gier komputerowych. Wyparowała z głów wiedza historyczna, społeczna, nikt się nie połapie, jakie kompromitujące rzeczy się wygaduje. W rezultacie nowoczesna publicystyka, choć operuje tymi samymi metodami opisu świata, co nawet nie religie, ale ludowe ich interpretacje, potrafi coraz doskonale udawać mędrca, który wie i rozumie, który potrafi przewidywać. Ta publicystyka genialnie stroi się w piórka nowoczesnej wiedzy. Niestety, wraz z przyrostem takich umiejętności mamy coraz mniejsze zapotrzebowanie na faktyczne rozumienie świata.

Sam bym tego nigdy nie przewidział, ale gdy kierunek został wyznaczony, mogę prorokować, jak to

będzie wyglądało w przyszłości. Nazywa się to „generator bełkotu intelektualnego”. Jak kto pogrzebie w starych numerach Fahrenheita, odnajdzie i moje eksperymenta w tej dziedzinie, które, choć miałem większe artystyczne ambicje, dość dobrze oddają istotę rzeczy. Ów program wygeneruje dla stworzenia wrażenia polemiki na przykład analizę optymistyczną i pesymistyczną, obie niosące tyle informacji, co liczba startowa generatora pseudolosowego, czyli nic. Obie doskonale się czytają. Albo trzy, pięć, dziesięć – do wyboru. Mniejsza, że na bruk polecą publicyści. Mniejsza, bo od dawna działają jak opisany powyżej typ programów.

Nikt nic nie będzie rozumiał, wszyscy będą wyglądali na bardzo mądrych, powtarzając gracko pozszywane frazy ze „stablodyzowanych” mediów. Wszyscy będą zadowoleni. Aż do momentu, gdy jakiś brodaty facet pojawi się w drzwiach, i ciągnąc za zawleczkę, zabełkocze „Allah Akbar”.